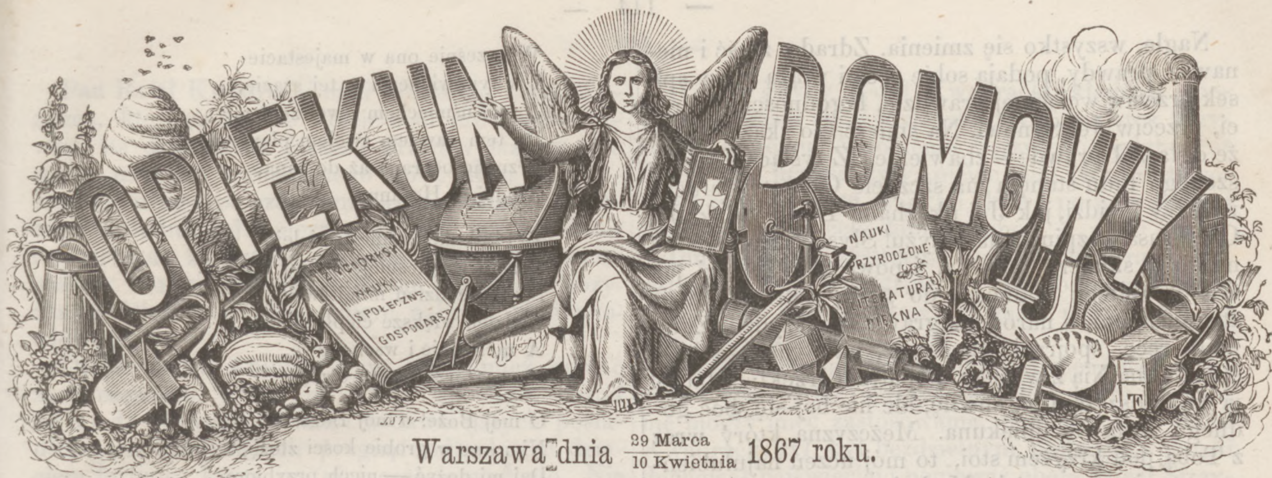


Warszawa dnia 29 Marca / 10 Kwietnia 1867 roku.

Nr 15. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok III.

Powrót od grobu Chrystusa.

Cóż to za niewiasta, z tą boleścią rozlaną na twarzy, z tem okiem zwilżonem łzami, niby lilja złamana wiatrem, w której w zwiędłym kielichu błyszczą i migocą jeszcze perełki rosy, niby kryształy, niby brylanty! Cóż to za mąż stoi przy niej w niemem odrętwieniu, mąż - młodzieniec, jak owa wierzba płacząca, jak smętna brzoza, co swojemi włosy przytula do łona pnący się u nóg jej kwiatek? A lice niewiasty przy całej żałobie jaśnieje niby gwiazda jutrzniana, niby gwiazda morza; jakaś Boskość ją otacza, czar niewysłowiony opromienia jej postać, że patrząc na nią myślisz czy to czasem nie nadziemskie widzenie, czy to nie Królowa Królowych, bo takiej niewiasty dziś już nie spotka między żyjącemi córami Ewy. A lice młodzieńca jakąś świętością natchnione, cnota zeń bije w każdem poruszeniu, w każdem mknieniu źrenicy, jakby tam anieli swój tron założyli. Więc dumasz patrząc na takie zjawisko, i pytasz pomimo woli sam siebie: co to za niewiasta? co to za mąż?



Tatuowanie skóry u dzikich (do str. 118-ej).—(Drzeworyt z pracowni panny Moniuszko).

To Marja Matka Chrystusa, — to Jan Święty Jego uczeń, powracający od grobu Zbawiciela.

I nikt się pewno nie dziwi ich boleści, ich przejmującej tęsknocie. Toć to Marja! ta sama Marja-Dziewica, owe Królewskie ubogie Dawidowe dziecię, która dla zbawienia świata stała się powolną służebnicą Pańską i tajemniczym sposobem poczęła w swem łonie Odkupiciela rodu ludzkiego. Toć to owa Marja, która aż w nędznej szopie złożyć musiała na sianie nowonarodzonego Syna Bożego, która aż do Egiptu uciekła ze swojem Dzieciątkiem, ze swoim skarbem, przed mściwą ręką Heroda, a powróciwszy karmiła Je w Nazarecie swemi piersiami, swem macierzyńskiem mlekiem; a choć kłaniała Mu się jak Bogu, jak swojemu Panu, toć przecież jak każda troskliwa Matka strzegła Go, chroniła od złego i wszelkiego nieszczęścia, krzątała się przy Nim niby pszczółka około ula, niby ogrodniczka około kląbu wonnych, barwnych kwiatków, — aby tylko to Dziecię, ten kwiatek, rozkwitł najprędzej w cudowny bukiet, w przepowiedzianego Zbawcę i Mesyjasza ludów, bo żal Jej było tej ziemi, tylu dusz nieszczęśliwych, a oczekujących odkupienia chwili.

Kwiat się nareście rozwinął, Dziecię wyrosło na męża i rozpoczęło działać. Tu Matka-Dziewica ujrzała całą Boskość swojego Syna, całe poświęcenie się Jego na zbawienie drugich. Widziała cuda jakich nikt przed Nim nie czynił, słyszała jego Boską naukę jakiej nikt przed Nim nie głosił, widziała Jego uznanie, Jego tryumf w bramach Jerozolimy; i radość Ją wielka napełniła i cieszyła się jak Matka nad szczęściem dziecka, nad szczęściem całego świata, nad chwałą swojego Syna.

Nagle, wszystko się zmienia. Zdrada, złość i nienawiść prawdy, podają sobie ręce i wiążą się w spisek przeciw wcielonej prawdzie, łagodności i dobroci, przeciw Jej Synowi. Na śmierć Go skazali za to, że ogłaszał prawdę—zbawienie. Z tysiącem rozjuszonego ludu stanęła na szczycie Golgoty, i słucha i patrzy i widzi, jak Jej ukochane Dziecię, jak Jej Chrystusa, rozpinają na krzyżu! Słyszy straszny stuk młotów, skwierk gwoździ i powrozów i widzi jak Go przybitego podnoszą do góry, a krew leje się strumieniami, a naród naigrawa się i szydzi! Załamała ręce, spojrzała na krzyż, na Syna,—a i On spojrzał na Nią z wysoka, popatrzał i rzekł: „Matko! ja cię opuszczam na chwilę, ale nie bój się, boć godnego zostawię opiekuna. Mężczyzna który wraz z Tobą pod krzyżem stoi, to mój uczeń najulubieńszy, on cię nie opuści. Matko! oto syn twój, Synu! oto Matka twoja."

I długo, długo, stali tak oboje pod szubienicą hańby i nędzy; choć Chrystus skonał, Marja jeszcze stała, a przy niej jak drugi syn, mąż-młodzieniec, Jan Święty najukochańszy uczeń Chrystusa, stał także pełen boleści i goryczy, stał nowomianowany opiekun Bożej Rodzicielki, i niby anioł-pocieszyciel rozpościerał nad Nią swe synowskie skrzydła, swój opiekuńczy cień. Odtąd Ona jego Matką, a on Jej przybranem dzieckiem. Odtąd nigdy Jej nie opuści i Ona nigdy nie zapomni o nim, o jego synowstwie, o jego niewinności, zasługach i łaskach u Chrystusa; bo kto u Chrystusa najmilszym, ten i u Marji najmilszym być musi, ten i w Jej sercu najpoczestniejsze ma miejsce.

Lud się nareście z Golgoty rozszedł: strach, bojaźń jakaś, ogarnęła wszystkich i kiedy ciało Chrystusa złożono do grobu, kiedy ciężkim kamieniem przywalono do niego wejście, kiedy je zapieczętowano i straż postawiono—wtedy dopiero Marja ze Świętym Janem oderwali się od tego smutnego miejsca, od tej ponurej groty, spojrzeli na siebie jak dwie wdowy, jak dwie sieroty, a spojrzeli tak smutnie, tak boleśnie i łzawo, że jedno drugie wspierać musiało, jedno i drugie pocieszać się musiało. Nareszcie zasmuceni, zboleli, pochyleni jak kłos nadeptany na drodze, z wypłakanemi oczyma, z rozdartem sercem i uczuciem, powrócili samotni do domu, aby tu oczekiwać w spokoju i rezygnacji rychłego zmartwychwstania, nowego tryumfu Syna Bożego.

Tak każda matka powraca od mogiły swego dziecka, tak każde dziecko wracać powinno od grobu swoich rodziców i nauczycieli.

Franciszek Gumowski.

PRZEDWIOŚNIE.

Ej piosenko! raźniej śmielej!
Zabrzmij niwom swym weselej,
Zima sroga dogorywa.
Ziemia twarde więzy zrywa,
Leć przez lasy, przez rozłogi,
Zwiastuj wiosny powrót błogi!

O! niedługo, a tam w górze,
Pieśń zadźwięczy po lazurze,
Prysną sniegi, znikną lody,
Z szumem, gwarem, pomkną wody,
Pierzchną z niebios czarne chmury,
Spłynie życie w pierś natury.

Wskrześnie ona w majestacie
I w tym wieńcu i w tej szacie,
Z tym uśmiechem i wejrzeniem
I z tem dawnem swojem pieniem,
Brzmiąc od rana aż do rana,
Alleluja i Hosanna!

Ej piosenko raźniej śmielej!
Brzmij rozgłośniej, brzmij weselej!
Słonko codzień milej świeci,
Codzień większe ciepło nieci,
A zachodnie i wschodowe,
Rosną zorze purpurowe.

O mój Boże! o mój Boże!
Nim swe w grobie kości złożę,
Daj mi dożyć — niech przybiorę
W szkarłat zorzy myśli chore,
I zadrzymię pod kotarą
Słodkich marzeń, z swych łez czarą.

Niech zamarzę jak przed laty,
Skroń ukrywszy między kwiaty;
Lub wylecę po nad chmury,
Śpiewać zimy skon ponury,
Bujać, śpiewać, w kręg rozgłośnie,
O radości i o wiośnie!....

Ej piosenko bądź wesoła!
Raźno, dźwięcznie brzmij dokoła!
Lasy, gaje szepcą skrycie:
Idzie wiosna, niesie życie,
Strumień gwarzy oddalony,
O nadziei o zielonej.

Władysław z Zacisza.

DZIWNI LUDZIE.

POWIEŚĆ.

(*Ciąg dalszy.* — Obacz Nr. 8, 9, 10, 11, 12, 13 i 14).



XIV.

Pół-miljona posagu.

[Z]datny był pomysł Ignacego. Skutkiem niego dwaj przyjaciele w tydzień potem, po dosyć mozolnem uporządkowaniu przetłumaczonych w kantorach kartek, wiedzieli już co się zawierało w pugilaresie.

Szerepa już poprzednio z paszportu dowiedział się, że spalony nieznajomy był ojcem wychowanicy pana Rafała Kwadrackiego ze Świerzycy, ojcem owej Anny, dla której młode serce jego bić było gotowe wówczas, kiedy jeszcze nie biło żadnem zbrodniczem wzruszeniem, żadną sprawiedliwości ludzkiej obawą.

Teraz dowiedział się następujących szczegółów,

Pan Rafał Kwadracki miał starszego brata Anzelma, którego dziwne koleje losu już bardzo dawno, na dziesięć lat jeszcze przed wyjazdem ojca Anny, usunęły z rodzinnego koła. Brat ten włócząc się długo po szerokim świecie, osiadł nareszcie w południowej Ameryce, w Chili, tam się ożenił i doszedł do znacznego majątku. Żona hiszpanka umarła mu po dwudziestoletnim wspólnem pożyciu, a dzieci wszystkie śmierć zabrała w niemowlęctwie.

Ojciec Anny, Antoni Strzyż, podobnież goniąc za szczęściem, które od niego odbiegło, dostał się aż do Nowego Świata i w dawniejszych posiadłościach hiszpańskich pragnął odbudować dzieciom fortunę, którą im nieszczęście wydarło. Nie wiodło im się jednakże tak, jak panu Anzelmowi Kwadrackiemu, i dopiero w ostatnich latach mógł zacząć cośkolwiek gromadzić.

Ziomkowie, obaj trudniący się handlem, Kwadracki i Strzyż z łatwością dowiedzieli się o sobie, przypomnieli swoją z kraju znajomość, weszli w stały stosunek, następnie w przyjaźń, przez czas jakiś pracowali razem, aż przyszło wreszcie do tego, że ojciec Anny zgromadził kapitalik wynoszący około sześćdziesięciu tysięcy i zwalczony tęsknotą za ziemią rodzinną i za pozostałemi w niej dziećmi, postanowił powrócić do Polski.

Owdowiałemu i bezdzietnemu Anzelmowi Kwadrackiemu, dwie przeszkody nie pozwoliły towarzyszyć przyjacielowi. Potrzebował czasu na wycofanie swego mienia z najrozmaitszych interesów jakie prowadził, i nie czuł się na siłach będąc daleko starszym od Strzyża, do odbycia tak długiej podróży. Nie wiedział przytem czy pozostał mu jeszcze ktoś, coby za powrotem w otwarte przyjął go ramiona: czy brat jego Rafał żyje jeszcze i o nim pamięta. W skutek tych wszystkich okoliczności Anzelm Kwadracki pozostał w Santiago, dał tylko swemu przyjacielowi czterysta uncij złota (pięćdziesiąt kilka tysięcy), które tenże zobowiązał się święcie dowieść bratu Anzelma, opiekunowi swoich dzieci Rafałowi Kwadrackiemu, albo jego sukcesorom.

Wszystkie te pieniądze, tak własne Strzyża jak i pana Rafała, znajdowały się właśnie w pugilaresie i ztamtąd je wyjął Szerepa. Największą ich część zabrał lichwiarz za wykup fałszywego wekslu, reszta stopniała w rękach Szerepy i Ignacego.

Na tem jednakże nie kończyły się odkrycia.

Antoni Strzyż, stosownie do umowy jaką zrobił z przyjacielem, nie miał się udać wprost do kraju, lecz potrzebował zabawić jeszcze kilka miesięcy w Oporto, w celu załatwienia niektórych interesów pana Anzelma.

Otóż w czasie pobytu w tem mieście, odebrał grubą ekspedycją z Santiago.

Znalazł w niej wiadomość o zaszłej w krótce po jego wyjeździe śmierci Anzelma Kwadrackiego, urzędownie poświadczona kopją jego testamentu, której odczyt tyle kłopotu nabawił pana Ignacego, oraz inne dokumenta potrzebne do prawnych czynów.

Testamentem swoim, Anzelm Kwadracki zapisywał cały swój majątek wynoszący około ośmiu tysięcy uncij bratu swemu Rafałowi, dodając do tego wyraźne i stanowcze zastrzeżenie: „jeżeli tenże wiernie dochował przyjętego na siebie obowiązku ojcowskiej opieki nad dziećmi Antoniego Strzyża.” Wrazie gdyby Rafał Kwadracki klauzulą powyższą okazał się wydziedziczonym, majątek przypadał samemu Antoniemu Strzyżowi, gdyby zaś dzieci jego już nie żyły, ojciec miał tylko dożywotnie używanie tego majątku, który po jego śmierci miał przejść na cele dobroczynne.

Inną klauzulą zastrzegał testator, że w razie niezgłoszenia się legatarjuszów po odbiór spadku w ciągu lat trzech, takowy również przechodził na cele dobroczynne.

Znajdowały się jeszcze inne rozporządzenia na różne zdarzyć się mogące wypadki, które przecież nie mogły mieć zastósowania, ponieważ pan Rafał Kwadracki żył, był bezdzietnym, obowiązku opieki dochował najświęciej i ponieważ oboje dzieci Strzyża zostawały przy życiu.

Naturalnie, że w czasie rozczytywania się w tych papierach, Szerepa objaśnił Ignacemu kto był pan Rafał Kwadracki, kto były dzieci Antoniego Strzyża, który się spalił w przejeździe w czasie pożaru w Suchej Woli, i inne tym podobne okoliczności.

— Więc Kwadracki dotrzymał opieki? pytał Ignacy.

— Nietylko że dotrzymał, ale sam się nie ożenił, ażeby nie mieć własnych dzieci i módz wszystko poświęcić dzieciom przyjaciela...

— A to dopiero dziwny człowiek!.. rzadki, nadzwyczajny, arcy-ekstra-ordynaryjny człowiek! unosił się pan Ignacy, ale to dla nas doskonale... Trzeba wypić jego zdrowie... Niech żyje pan Rafał Kwadracki!...

Po odbytej libacji, Ignacy znów pytał:

— I sądzisz, że on zapisze wszystko co ma i mieć będzie swoim przybranym dzieciom?..

— To nie podlega najmniejszej wątpliwości. Choćby miał miljon, wszystko dla nich.

— Choćby miljon, powtórzył Ignacy, no to tymbardziej ośm tysięcy uncij.

— Ba!.. a cóż to jest uncja?..

— Licho ją wie... no, jušci najmniej rubel...

— Więc to byłoby tylko ośm tysięcy rubli, rzekł kwaśno Michał, to plunąć na to...

— No, może więcej... może tyle co funt szterling... funt szterling ma przeszło sześć rubli...

— Byłoby zatem z pięćdziesiąt tysięcy rubli na dwoje.

— Tym sposobem, prawił zacierając ręce Ignacy, Anna Strzyżówna miałaby dwadzieścia pięć tysięcy rubli posagu... Palnijmy jej zdrowie... Niech żyje Anna Strzyżówna!

Znów złożono ofiarę Bachusowi, poczem pan Ignacy głos zabrał:

— Ztąd wynika, Michasiu, że się żenisz ze Strzyżówną.

Szerepie miło jakoś zrobiło się na sercu... Po chwili jednak szepnął:

— Tak... posażna... to mnie może i nie zechce jak się dowie, że nie mam nic.

— Jakie z ciebie dziecko Michale, śmiał się Ignacy, pójdzie, pójdzie z pocałowaniem ręki... to ty jej łaskę zrobisz, a nie ona tobie.

— A to jakim sposobem?

— Bardzo prostym. Starać się będziesz o nią teraz, o taką jak jest, o sierotę na łasce dzierżawcy. Dowody spadku zjawią się dopiero w dzień ślubu... Toż się pysznić będzie dziewczyna, że idzie za obywatela... A twoja miłość znajdzie wiarę, bo się będzie zdawało żeś ją pokochał bezinteresownie.

— Myśl dobra, odrzekł poważnie Michał, tylko mój Ignacy, zrób mi tę przyjemność i nie mów o niej lekko... bo ja ją prawdziwie kocham.

— Oho! już? rzekł śmiejąc się przyjaciel, tak zaraz? na poczekaniu?

— Przeciwnie... od lat pięciu...

— Biję czołem przed pierwszą, czystą, platoniczną miłością, odrzekł z ironją Ignacy. A zatem szykujesz się do drogi?..

Michał się zamyślił i nie odpowiedział wcale.

— Jakże?.. kiedyż wyjedziesz?.. o czem myślisz?..

— Widzisz mój Ignasiu, odrzekł nareszcie, czy to tylko na pewno uncja jest tyle co funt szterling?.. bo jeżeli to tylko rubel...

— Aha! zakochany paniczu, złapałeś się!.. Jeżeli uncja tylko rubel, to się nie opłaci ją kochać?.. nieprawdaż?..

— Ja bym ją wziął bez grosza, tłómaczył się więcej przed sobą, niż przed przyjacielem Szerepa, ale cóż jej dam jeść?..

Skutkiem tej wątpliwości, która się nasunęła dosyć jak widziemy doświadczenia już posiadającemu kochankowi, postanowiono się dowiedzieć co to jest uncja.

Kiedy usłyszeli dwaj przyjaciele, że uncja znaczy przeszło trzy funty szterlingi, nie mogli swym uszom dać wiary. Musiano im powtarzać kilka razy.

— Wiesz Michale, żeś ty szczęśliwy, mówił Ignacy, Strzyżówna tym sposobem będzie miała przeszło pół-miljona posagu.

— Pół-miljona! powtórzył Michał, o! jak ty doskonale poczułeś, że ten pugilares pachniał pieniędzmi...

Rozpoczęto natychmiast przygotowania do wyjazdu Michała w konkury.

Pan Ignacy krzątał się z nim razem i myślał:

— Szczęśliwy chłopak!.. dostanie ją na pewno... Jak będzie miał pół-miljona nie będzie mi z nim źle.

Potem jakaś myśl zazdrosna przebiegła mu po głowie:

— Głupiemu zawsze szczęście służy!.. Czemu mnie taka gratka nie spotkała?..

Z tej prostej obserwacji wyrodziła się wątpliwość:

— Ba, czy ją tylko dostanie?.. Biedna... toć może wybierać pomiędzy wszystkimi co nic nie mają... a takich jest cała chmara... Pierwszy lepszy może mu ją sprzątnąć z przed nosa... naprzykład pisarz prowentowy.

Od takiej wątpliwości bardzo prosto przyszedł pan Ignacy do wniosku:

— Pierwszy lepszy... a czemużby nie ja?.. Pół-miljona posagu... pokusić się warto!... Pół-miljona... a gdyby ten brat nie żył... byłby miljon... Dla czego brat ma żyć koniecznie?.. Nie wszyscy bracia są długowieczni... Może być miljon... będzie miljon... Nie konkurowałem nigdy, bo to błazeństwo. Panny bogate patrzą z góry na gołych konkurentów, trudno im dowieść, że się do nich umizga a nie do worka. Worki lubią się żenić z workami, nie wdają się w mezaljanse. Strzyżówna sądzi że jest biedną, więc łatwo słodkim słówkom uwierzy... niepodobna wymyślić lepszej sytuacji... Dowie się że bogata, jak już będzie moją... Ignasiu, zagraj dobrze komedyjkę, dam ci ogromne brawo!.. Będziesz miał miljon, a Michałowi finfa w nos.

Tu pan Ignacy zaczął przegląd swojej osoby:

— Mam lat czterdzieści... przy pomocy kosmetyków, będę wyglądał na trzydzieści dwa... Będę w sam raz dojrzałym człowiekiem, kiedy on jest smarkaczem... Panny wolą dojrzałych i mają rację. Jestem blondyn, no to wybornie... inaczej miałbym już siwe włosy... Wąsy i bródkę mogę wyszykować bardzo przystojnie... w sam raz na zamożnego kawalera do wzięcia... a oczy moje na kobiety patrzeć potrafią... o! potrafią!.. Jak jej niemi powiem że kocham, to się dziewczyna na burak zaczerwieni. Wiejskie to, głupie, byłbym chyba ostatnim osłem żebym nie zdurzył, nie zawrócił w głowie. Przytem wyelegantuję się za jego pieniądze... kiedy głupi niech płaci za moje konkury. Uda się wszystko... będzie pół-miljona... co znowu?.. będzie miljon... bratu szepnę do ucha, że mi zawadza... może posłucha rady i pójdzie na ciepłe piwko do Abramka... dam mu... co bądź... ot naprzykład krzyżyk na drogę. A co Michał, to proste cielę, do mnie się ani umywał... dość mu będzie podstawiać nogi gdzie się zdarzy, a upadnie jak długi i nie podniesie się więcej...

Tak obmyśliwszy swoje plany, pan Ignacy rzekł do Szerepy:

— Wiesz co Michale, nudzi mi się już miasto, chciałbym trochę wypocząć, pojadę z tobą w Sandomierskie.

— A! mój kochany, odpowiedział ściskając go Michał, robisz mi prawdziwe dobrodziejstwo. Będziesz mi pomagał, będziesz mną kierował. Bez ciebie głupstw bym tylko narobił. Już dawno chciałem cię prosić o towarzystwo, nie śmiałem jednak, boś mi z taką niechęcią odmówił kiedym jeździł po pieniądze na weksel.

— No, widzisz, wtenczas była zima a teraz Sierpień, najpiękniejsze lato...

W kilka dni później, dwaj przyjaciele wyjechali w Sandomierskie. *(D. c. n.)*

O MODZIE.

Każdy bez wyjątku wie co jest moda; każdy bez wyjątku, choćby pod pewnemi tylko względami jej kaprysom czy przepisom ulega; każdy prawie na nią wyrzeka, a przecież gdyby przyszło dać dokładną definicją, ścisłe określenie tego co to jest moda, niejeden pewno tak by się napocił, jak ja w tej chwili, nim sobie wyrozumowałem ostatecznie, że moda w najszerszem a więc najpełniejszem tego słowa znaczeniu, jest zbiorem tego wszystkiego, do czego człowiek pojedyńczy stosować się powinien, ażeby nie odróżniać się od innych powierzchownie.

Wychodząc z tej definicji, widzimy, że zakres mody jest niezmierny. Nie zależy ona jedynie na przepisaniu ludziom jednej klassy, jednego społeczeństwa, tegoż samego kroju ubrania: lecz wciska się głębiej w obyczaje i oddziaływa widocznie na wszystkie prawie czynności nasze, których świadkami być może ogół, czyli jednem słowem które są dopełniane w życiu towarzyskiem lub publicznie.

Po za obrębem jawności, w kółku domowem lub w samotni, ustaje panowanie mody; to prawda, lecz i w tem sanctuarium rodzinnego kółka nie jest ona bez wpływu i do samotnego przybytku pracy i rozmyśleń wkradać się potrafi, zamieniając je nie na scenę popisu mody, lecz co gorsza na kulisy tej sceny, pod zasłoną których niewolnik modnych wymagań, przygotowuje się i wprawia do wyjścia na oczy ludzi.

Na czem więc opiera się moda? — Oto na tej wątpliwej wartości zasadzie: że wszyscy ludzie powierzchownie podo-

bni być powinni, że występując w obec innych, nikt nie ma prawa różnić się od nich. Wszelkie odstąpienia od tej zasady, piętnują się nazwą *oryginalności* albo *śmieszności*, te zaś dwa wyrazy w życiu pobocznem uznane są za bliskoznaczniki, i nietylko oryginalność niejest uważana za żadną zaletę, lecz nawet *oryginałem* nazywa się człowiek, którego śmieszność usystematyzowała się, skrystalizowała, spotężniła.

Zkąd-że się wzięła ta zasada na której stoi moda? to zastosowanie do towarzyskiego i publicznego życia przysłowia twierdzącego: że należy krakać z wronami? jaki prawodawca postanowił, że człowiekowi nie wolno być sobą powierzchownie ilekroć z podobnemi sobie się styka? Odpowiedź na to wszystko jest tajemnicą mody. Powstała ona sama z siebie nie dla uczynienia zadość jakiéjkolwiek głębszej, żywotnej potrzebie, lecz dla stania się potrzebą, i przepisała sobie zasadę powyższą tak samo dowolnie, jak mogłaby przepisać wprost przeciwną. Każdy bowiem przyzna, że stosowanie się we wszystkiem do powierzchownego ułożenia innych, tak samo jest modą, jak mogłoby być różnienie się we wszystkiem od innych. Taż sama oryginalność i śmieszność którą dziś moda potępia, mogłaby się również dobrze stać podstawą mody, jak nią jest dzisiaj bezwzględne naśladownictwo wzajemne. Tak jak dziś wszystkie panie starają się nosić jednakowego kształtu kapelusze, tak znów jutro może przyjść moda nakazująca każdej silić się na oryginalność i odróżniać jedna od drugiej, jak tego zresztą nawet niedawno mieliśmy przykłady, kiedy nie można było zobaczyć dwóch kapeluszy jednakowo przystrojonych, tak wielką była rozmaitość dziwacznych ozdób, które do nich przypinano. Zresztą w ostatnich latach, żurnale zagraniczne podawały nieraz wzory tualet prawdziwie ekscentrycznemi nazwać się mogących. Moda przepisywała oryginalność; odstępowała od swej własnej zasady, aby dowieść że nie ma żadnej, że nie wychodzi z żadnej, że jest prostym kaprysem, stanowi grymaśne widzimi się społeczeństwa, a zresztą nie jest niczem, żadnej potrzebie zadość nie uczyni i swych zwolenników tylko czczym popędom gromad ludzkich zawdzięcza.

Zarzuci mi kto może, iż niesłusznie powstaję przeciw tej zmiennej prawodawczyni, która całe społeczeństwo w jeden uniform przybrać by rada, lecz się na krój tego uniformu zgodzić nie może i codzień zmieniać by go była gotową. Ten lub ów, a najprędzéj dzienniki poświęcone modom, zapytają mnie może: czem zastąpićbym pragnął kodeks mody, gdyby mi się udało go obalić? Z innej strony może kto powie: że gdyby moda nie trzymała wszystkich w swych karbach, gdyby każdemu w życiu towarzyskiem i publicznem zostawioną została samodzielność, co do sposobu znalezienia się i powierzchownego ułożenia—zapewne niejeden niepotrafiłby użyć tej samodzielności inaczej jak na wystąpienie śmieszne, rażące gust dobry i t. p. (nie mówiąc nic o obrazie obyczajów, bo tych nie moda strzeże lecz prawo, i ono bardzo często modzie do ich obrazy posunąć się nie dopuszcza).

Na wszystkie te zarzuty mam krótką odpowiedź:

Gdyby każdemu w tych względach jakie moda objęła pod swe panowanie pozostawiono samodzielność, jest rzeczą więcej niż niezawodną, że niekażdy miałby sobie za punkt honoru odróżnienia się od innych pod względem ubioru, manjer i t. p. W tym jak we wszystkich innych względach ludzie podzieliliby się właśnie na to czem są w istocie—na oryginały i kopje; pierwsi byliby samoistnymi, niezmierna większość drugich naśladowała by tych z pomiędzy nich, których powierzchowność i ułożenie najwięcej by im do gustu przypadły, a że ludzie najchętniej naśladują piękne wzory, więc wzgląd estetyczny musiałby zyskać, a nie stracić. Tym sposobem to co jest prawdziwą, połączoną z dobrym smakiem oryginalnością, stanowiłoby elegancją bądź manjer, bądź stroju i byłoby naśladowanem przez innych, gdy tym czasem dziś ten właśnie smak dobry, ta rzeczywiście estetyczna elegancja narażoną jest na szyderstwo i pośmiech, jeżeli przypadkiem nie zgadza się z chwilowym kaprysem mody.

Co do zarzutu, że moda trzyma w karbach pewne indywidua pozbawione dobrego gustu, które gdyby jej niebyło występowałyby w sposób ublizający dobremu smakowi, zarzut ten właśnie wprost przeciw modzie skierować wypada. Prawda bowiem że jest możebnem, iż w towarzystwie wyemancypowanem z pod drobnostkowych zmiennych częstokroć niedorzecznych przywidzeń i przepisów mody, zdarzyćby się mogły pojedyncze uchybienia dobremu smakowi i zmysłowi estetycznemu patrzących,— ale za to pod panowaniem mody, ileż razy całe towarzystwa, całe klassy społeczeństwa, są przymuszane przez nią do obrażania dobrego smaku strojem uchybiającym zmysłowi estetycznemu tych co nań patrzą. Tomy spisać moglibyśmy przykładów wykazujących, że stroje będące najprostszem pogwałceniem symetrji i piękności kształtów, moda długotrwała nieraz narzucała całym krajom, całym społeczeństwom i odstąpienia od takiej mody, pilnowanie się dobrego smaku, zastosowanie się do naturalnych pojęć o symetrji i harmonji, uchodziło w owych czasach za śmieszność, dawało patent na oryginała!

Gdyby moda była prawdziwą strażniczką estetycznie zrozumianéj elegancji, miałaby ona cel bytu, i wtedy nie występując przeciw niej, wołałbym tylko: żeby pamiętała o tem, iż piękność z oszczędnością pogodzić można. Lecz gdyby moda była taką, gdyby jéj celem było pilnowanie piękna, wtedy niepowiadałaby niezawodnie: że dziś należy nosić suknie długie z ogonami, a jutro krótkie po kostki; że dziś należy czesać włosy w warkocz, jutro upychać w kok, choćby go z cudzych włosów kupić przyszło; że dziś się nosi kapelusze, które ledwie można dostrzedz na głowie, a jutro nosić się będzie takie z pod których twarz zaledwie dojrzeć będzie można. Gdyby moda była prawdziwą strażniczką piękna, wtedy mówiłaby do swych zwolenniczek: noście suknie piękne, czeszcie się pięknie, kapelusze wasze niech wam będą do twarzy. Czy suknia będzie długa czy krótka, z ogonem czy bez, mniejsza o to, jedna może mieć taką, druga taką, inna inną—siedliskiem piękności nie jest wyżej wzniesiony, albo niżej spuszczony sznurek, którym się spód sukni obszywa. Piękność nie mieszka ani w ogonie, ani w bawecie, ani w wycięciu gorsu, ani w obcisłości pasa. Stanowi ją zgodna harmonja całości, harmonja sukni z osobą, która ją nosi. Suknia piękna jest zawsze modną, zniszczenie chyba może ją nie modną uczynić. Co do włosów, układ ich taki albo inny, może być odpowiednim dla takiej albo innéj twarzy. Chcieć wszystkie głowy uczesać na jeden sposób, jest to chcieć przynajmniej połowie z nich ująć wiele z tych wdzięków jakie posiadają. I tu piękno zależy przedewszystkiem na stosowności, na harmonji. Toż samo powiedziećby należało o kapeluszu, toż samo o wszystkiem, o etykiecie, która nie jest niczem innem jak modą, o takich upodobaniach jak manja angielszczyzny lub francuszczyzny, które są również dziećmi mody, o wszystkiem jednem słowem, cokolwiek w życiu robimy nie dla uznania rzeczywistej tego potrzeby, lecz dla tego, że tak robią inni, dla nie odróżnienia się od innych, dla oka ludzi, wszystko to bowiem razem stanowi dziedzinę mody.

Gdyby Opiekun Domowy miał być pismem poświęconem modzie, zaprawdę warto byłoby większą połowę jego literackiej części poświęcać stale artykułom w ten lub ów sposób udowadniającym, że jest czas i potrzeba wyemancypować się z pod niedorzecznego władztwa tej bogini, co tak ciężkie ofiary ponosić nam każe. Być może

żeby się to na co przydało, że choć część czytelniczek pism takich przestałaby być dziećmi, które moda trzyma na wodzy groźbą śmieszności, tak jak niańka trzyletnie pacholęta pogróżką dziada albo kominiarza; być może, żeby zrozumiały iż jedyną potrzebą stroju jest piękno, które zawsze da się z oszczędnością pogodzić, a piękno się nie zmienia razem z kwadrami księżyca, lub tygodniowemi jakiego tam *Bazaru* numerami. W piśmie poświęconem modzie, podobne artykuły mogłyby osiągnąć swój cel; w ramach przecież szczupłego naszego tygodnika, obszerniejsze rozwodzenia się nad modą, byłoby może z ujmą dla innych traktowanych przedmiotów.

Dla tego skończę ten artykuł zwróceniem uwagi, na ekstrawagancje jakich się moda dopuszcza na dwóch krańcach cywilizacji—u dwóch rozmaitych narodów.

Ludzie jednego z tych narodów, zamieszkującego strefy dotychczas tylko zwiedzane przez Mungo Parków, Livingstonów i t. p. zapaśników, walczących o coraz nowe dla wiedzy zdobycze, żyją jeszcze w tym stanie barbarzyństwa, że nawet pojęcie wstydu nie wyrobiło się u nich. Moda jednak i tam już rozciągnęła swoje panowanie. Gdzie suknia nie jest znaną, tam nie mogła ona dodać do niej żadnej ozdoby, nakazała jednak przyozdabiać same ciało. Mieszkańcy takich krain, przez nas dzikiemi zwani, przyozdabiają więc swoje ciało różnemi rysunkami w sposób jaki przedstawia załączony drzeworyt. Nazywa się to *tatuowaniem* ciała 1). Centki i malowania tego rodzaju są dumą noszącego je na swej skórze, tak samo jak kosztowna suknia jest dumą naszej elegantki. Otrzymuje się te rysunki najczęściej za pomocą nakłuwania aż do krwi i napuszczania następnie farbującemi substancjami.

Oprócz tego rodzaju ozdób, rozmaite dzikie ludy przedziurawiają sobie nozdrza lub dolne wargi i zawieszają w nich kółka metalowe i t. p. ozdoby. Kochają się również w błyskotkach, pieniążkach i kawałkach pstrych szmat, któremi obwieszają swoje ciało.

Taką jest moda tamtych krain.

Inny naród, o którego modach wspomnieć zamierzam, powszechnie liczonym jest do cywilizowanych; kobiety tego narodu czynią wszelkie możebne wysilenia, ażeby sobie utrudnić najważniejszą z funkcji żywotnych oddychanie, a poprostu uniemożebnić inną również ważną funkcją jedzenia. Nieporównany także mają wstręt do naturalnego chodu i wszelkich dokładają starań, ażeby go uczynić jedną z największych męczarń, na jaką istota ludzka może być skazaną. Wszystkie te prywacje mają zapewne na celu uwolnienia się od mąk czyścowych po śmierci. Wystawcie sobie, że te nieszczęśliwe za pomocą dowcipnie wymyślonych maszyn, mieszczących w sobie zęby najstraszliwszych potworów oceanu, ściskają swoją kibić do tego stopnia, że ręką objąć je można. Żebra ich wychodzą przez to z naturalnego położenia i gdy im przyjdzie dać życie dziecięciu, narażają je i siebie na śmierć dla mody! Aby uniemożebnić chód, zamykają nogi w rodzaj obejmujących je ze wszystkich stron potężnych kleszczy, w które z całem wysileniem zaledwie wepchnąć je można. Nie dosyć na tem, chcąc chodzić tylko na wielkich palcach podsuwają pod pięty rodzaj stosownie wyrobionych klinów, pod które jeszcze podbijają spore pręciki. Chód w tak spętanej nodze, staje się prawdziwem arcydziełem zwinności i niepodobna pojąć, jak go się nie mając skrzydeł mogą dopuszczać. Ubranie ich dalsze, począwszy od mechanicznie do niezmiernej szerokości doprowadzonego pasa, jest nadzwyczaj szerokie, tak że bez podpór stalowych które stanowią kompletne rusztowanie, utrzymaćby się nie mogło. Suknie swoje każą robić osobom które nie mają pojęcia o braniu miary, tak dalece, że robią je z tyłu dwa razy dłuższemi niż z przodu, co jednak z dwóch względów wychodzi tym damom na dobre: raz, że przyczyniają się do porządku uprzątając kurz wszędzie gdzie przejdą, a powtóre że mężczyźni często im następują na te wlokące się ogony, przez co nieraz taką osobę która chodząc na palcach bardzo łatwo na twarz upaść może, chronią od niechybnego szwanku.

Zabroniwszy tym paniom chodzić, oddychać i jeść, moda nie wypuściła ich jeszcze ze swej opieki: kazała im ona poprzedziurawiać uszy i ponawieszać błyskotek, na twarz kłaść codzień farbę czerwoną i białą, a do włosów naturalnych dodawać zawsze pęk krótkich w kłąb zwiniętych, w siatkę zebranych, a coś wcale nieestetycznego w środku mieszczących włosów, które spekulanci sprzedają im na funty. Panie te przykrywają głowę rodzajem tasiemki szerokiéj na kilka palcy, która ma je osłaniać od słońca i nazywa się kapeluszem; wreszcie zaś podczas zimy, która w tym kraju bywa bardzo ciężką, przykrywają ramiona i łopatki wązkim pasem skóry zwierzęcej obróconej siercią do góry i twierdzą, że im jest ciepło.

Mężczyźni tej krainy, dla krótkiej pamięci zapomnieli swojego rodowitego języka, są daleko naturalniejsi w ubiorze, zwłaszcza w porównaniu z kobietami, dla tego o nich zamilknę.

Wołody Skiba.

---

1). Podróżujący francuzcy piszą *tatouer*, angielscy *to tattoo* niemieccy *to towiren*. Polski wyraz *tatuować*, zgadza się z pisownią francuzką i angielską, lubo niektórzy piszą *tatywować*. Trzeba wyznać, że tatuowanie nie jest wyłącznym przywilejem dzikich. W r. z. w Belgji, a dawniej jeszcze we Francji, zdarzyło mi się widzieć ludzi mających na czole różne znaki i godła wypiętnowane tak, że przez całe życie przetrwają. Jeden z nich, grenadjer belgijski, miał wytatuowany wizerunek jakiejś ekwilibrystki, która dawała w Gandawie widowiska chodzenia na kuli!—.
(*Przyp. aut*).

WRÓBLE.

(Bajka).

Pobiły się na ulicy,
Szare wróble srodze:
O ziarnko z pszenicy
Znalezione na drodze.
Ten chce sobie—a ten sobie,
A obaj uparci:
— Nie dam tobie!—nie dam tobie!
Czubią się zażarcie.

Na ten hałas kogut staje,
— O co tu rzecz chodzi?!
A, pieniacze! a hultaje!
Czyż to bić się godzi?...
Zapłonęły gniewem jemu
I oczy i lice:
W kark jednemu, w kark drugiemu,
A sam zjadł pszenicę.

Ot widzicie teraz jaśnie,
Że to prawda czysta:
Gdzie się tylko dwóch powaśni—
Tam trzeci skorzysta.

Aleksander Szukiewicz.

ROZMAITOŚCI.

— **Dobry posłaniec.** Pewien żyd z Mszczonowa bawił przez dni kilka w Tarczynie. Zdarzyło się że inny młody żydek miał iść z Tarczyna do Mszczonowa. Jankielek, ów żyd z Mszczonowa, daje wybierającemu się w drogę serek i 15 groszy, prosząc iżby to odniósł jego żonie. Moszek przystaje i puszcza się do Mszczonowa.

W kilka dni potem Jankiel powrócił do domu i dowiedział się od żony, że ani pieniędzy ani serka nie odebrała. Idzie tedy do niesumiennego posłańca i pyta:

— Nu, Moszek, a co ty zrobił z serkiem?

— Nu, ja jemu zjadł, — odpowiedział Moszek spokojnie.

— A pieniądze?

— Pieniądze?... a mnie co za drogę?...

— **Pierwsza kassa zaliczkowa dla rzemieślników w Warszawie** założoną została w dniu 1 Września roku zeszłego przez rzemieślników pracujących przy drodze Żelaznéj Warszawsko-Wiedeńskiej, którzy wnoszą do niej pewną część swojego zarobku przy każdej czternastodniowej wypłacie. Tym sposobem złożono już przeszło 300 rs. Z summy tej wypożyczają potrzebnym współtowarzyszom za małym procentem kwoty do rs. 15 dochodzące, z obowiązkiem zwrotu w jednej, dwóch lub trzech ratach. Głównym celem kassy jest niesienie na czasie i bez uciążliwych formalności pomocy kolegom, aby ich wydobyć z rąk spekulantów, którzy nadzwyczajnemi procentami wyzyskiwali od nich grosz nabyty ciężką pracą.

— **Zorza**, pismo wychodzące co tydzień w niedzielę, pod redakcją pana J. Grajnerta, poświęcone jest ludowi miejskiemu i wiejskiemu. Drugi już rok niesie ona światło nauki do niskich strzech włościańskich, i do niższych może jeszcze poddaszów domów miejskich. Zarówno włościanin, jak i rzemieślnik, wyrobnik i służący, znaleść mogą w *Zorzy* bądź powiastki stosowne a uczące jak wychowywać należy dzieci, jak nap. *Wychowaniec*; bądź opisy zamorskich stron jak *połów pereł* w Azji; bądź też rady co do najważniejszych postanowień silnie wpływających na życie ludzkie, jako to: *Dobre rady we względzie zawierania małżeństw;* bądź też zabawne komedyjki mogące być przedstawiane przez wieśniaków lub dzieci, np. *Maciek panem Maciejem*; albo też wykłady o naukach rozmaitych jak o *chemji*, albo rady gospodarskie: *o soli*, *o cebuli*, lub wierszyki jak np. *Mazurek:*

Siał gospodarz żyto, żyto;
Żona mówi: hreczka!
Niemówże mi i słóweczka!
— Niechaj, niechaj, niechaj, niechaj,
Niechaj z żyta będzie hreczka.

W końcu zamieszczane są tam dowcipne czasem gawędy *Kumoszki całego świata*, siląeej się koniecznie rozśmieszyć czytelników, a zresztą zagadki i rozmaitości. Pismo to poczciwością dążeń nacechowane, zasługuje na rozpowszechnienie tem bardziej, że cena wynosi miesięcznie w Warszawie kop. 15 czyli złotych polskich *jeden*.

— **Banki Zaliczkowe dla rzemieślników.** Pod tym tytułem wyszła obecnie książeczka napisana przez p. *Aleksandra Makowieckiego*, który już niejednokrotnie pisał w kilku pismach o rzemieślnikach. W tej książce dowodzi autor, że byt rzemieślników, tak majstrów jak i czeladzi, polepszyć można bardzo łatwo za pomocą banków dających pożyczki czyli zaliczki, a które to banki sami rzemieślnicy przy cechach zakładać mogą. Przedmiot to nadzwyczaj ważny dla klass pracujących, i obznajmienie się z temi bankami, ze sposobem ich zakładania, jest dla rzemieślników pragnących dorobić się czegoś, koniecznem. Dla tego też autor chcąc umożliwić rozszerzenie się tych wiadomości, złożył w naszej Redakcji egzemplarze tej książki, które zgłaszającym się wprost do Redakcji sprzedawane będą po 10 kop. czyli po 20 groszy za egzemplarz. Jeśliby zaś panowie Majstrowie lub Zgromadzenia Rzemieślnicze, chcieli nabyć więcej niż po 4 egrzemplarze tej książki, dla rozszerzenia wiadomości o owych bankach między czeladzią lub członkami Zgromadzeń, w takim razie mogą zgłosić się w prost do p. Makowieckiego Aleksandra pod N-r 765 przy ulicy Elektoralnej, u którego nabyć będą mogli tę książeczkę po *niższej* jeszcze cenie, to jest po 15 groszy czyli po kop. 7 ½ za egzemplarz.

Cukier znany był w Indjach Wschodnich i Chinach w odległej starożytności, w Europie zaś daleko później zaczęto go używać zamiast miodu. Jeszcze za czasów Aleksandra Wielkiego był on wielką rzadkością.

W czasach wojen Krzyżowych lepiej go poznano, a pierwsi Wenecjanie poczęli sprowadzać z Egiptu i Malty do Europy trzcinę cukrową. Dawniej utrzymywano cukier tylko w aptekach, jako rzadkość i lekarstwo, i dopiero w XV wieku gdy poznano właściwy sposób otrzymywania soku z trzciny cukrowej, produkt ten należycie się upowszechnił. Jeszcze więcej przyczynił się do jego upowszechnienia, sposób wyrabiania cukru z buraków, wynaleziony przez aptekarza berlińskiego Margrafa w roku 1747. Wszakże dopiero pod koniec zeszłego i w początkach bieżącego stulecia, we wszystkich krajach poczęto zakładać fabryki cukru z buraków. Pierwsza fabryka takiego cukru, została założoną u nas 1829 roku w dobrach hr. Łubieńskiego w Guzowie. W roku 1865 było w Królestwie Polskiem cukrowni 40, które znajdowały 8,528 robotników, a produkowały cukru na 3,733,925 rubli.

PODSŁUCHANE GDZIE SIĘ ZDARZY.

(Na pewnéj zabawie, gdzie się zajmowano rozwiązywaniem zagadek).

PANNA RÓŻA. Zadam panu zagadkę, ale z góry zapowiadam, że trudna... Słuchajno pan: Pierwsze *sza*, drugie *fa*,

Zawsze w kącie stoi.

PAN ANTONI. (Po długim namyśle). Zawsze w kącie stoi... cóż to takiego stoi w kącie? hm! — A, a! odgadłem, *fuzja*.

Wszyscy obecni śmieją się do rozpuku, wołając *brawo, brawo*!

PAN ANTONI. Niech to państwa nie dziwi, ja kiedyś w lot najtrudniejsze zagadki rozwiązywałem; dziś już nie to co dawniej; no, ale dziś nie dla proporcji głowę noszę, Proszę pani o drugą...

PANNA RÓŻA. Pierwsze *fur*, drugie *man*

Ni to sługa ni to pan.

PAN ANTONI. Ba! jeżeli ani sługa, ani pan, to jużciż lokaj. Cóż, zgadłem?

ZAGADKI.

Jakie jest podobieństwo między sercem a butami?
(Jedno i drugie się podbijają).

Czego ma więcej bieda od fortuny?
(Kół—Fortuna ma jedno, bieda dwa).

Jak przyprawić raki, aby miały postać drobiu?
(Dodać literę q, a będą kuraki).

Myśli i Zdania.

— Każdy powinien z dochodów swoich odkładać pewną ilość pieniędzy na nieprzewidziane wypadki w kassie oszczędności, a będzie z tego miał korzyść trojaką: zapewnienie, bo mu nic nie przepadnie; stały procent powiększający coraz kapitał i pomoc wielką w niepomyślności.



Powrót od grobu Chrystusa (do str. 113-ej).—(Drzeworyt paryzki).

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.